

Kończą się wakacje. Kolejne cudowne miesiące, poświęcone na odpoczynek i zwiedzanie świata, przechodzą do wspomnień. Nikos, znanym tylko sobie sposobem, przedłużył ferie letnie w tym roku do sześciu miesięcy, zaczynając je w kwietniu. Niezależnie, ile by trwały, i tak byłyby za krótkie, zupełnie jak życie, a tym bardziej wakacje spędzone na zwiedzaniu Ameryki Północnej.

Jednakże wszyscy, mimo ogromnej ilości cudownych przygód i radości przywożonych zza oceanu, są świadomi, że to jest koniec pewnej epoki, jakiegoś okresu, gdy tworzyli w miarę wspólną całość, razem podróżując i razem poznając świat i życie w zupełnie inny sposób, oczywiście setki razy skuteczniejszy niż ten z użyciem atlasu i ławki szkolnej.

Tak jak za rufą zostaje ląd i z każdą sekundą oddalając się, maleje, stając się jedynie paskiem zieleni, który w końcu też niknie, tak samo nasza teraźniejszość, która jeszcze przed chwilą była realna aż do bólu, rozptywa się we mgłę naszych wspomnień, zanikających z czasem, jak rzeczywistość.

Stali w szóstkę, oparci o barierkę, i z rozrzewnieniem patrzyli na Meksyk, znikający za horyzontem. Mieli wilgoć w oczach, która u każdego z nich pokazała się trochę z innego powodu.

Dzieciaki czują, jak w tym momencie bezpowrotnie przemija im bez troskie dzieciństwo, a powrót do Grecji stajnie się początkiem nowego etapu ich życia.

Feba pomyślała sobie, że powiedzenie „podróże kształcą” dotyczy przede wszystkim emocji, bo ostatnie trzy lata zupełnie zmieniły emocjonalnie jej synów i w głupich rozrabiakach rozwinęły jakąś dojrzałość, niedostrzeganą u rówieśników, spędzających dziesięć miesięcy w ławce szkolnej. A jej samej namieszały w głowie tak, jakby w środku miała ukwieconą łękę z hasającymi po niej zajęczkami.

Nikos miał wzrok, jakby odmawiał modlitwę dziękczynną, że dane mu było przeżyć kolejne dni cudownego szczęścia trzymanego za rękę tak, jak teraz ścisnął dłoń Feby, z lekką obawą, by nie wypadła za burtę i nie zniknęła w odmętach

oceanu.

Długo tak stali i patrzyli w dal, przeżywając szczęście, każdy na swój własny sposób.

Rejs statkiem w czasach, gdy statkami pływało się za ocean, nadawał podróży zupełnie inną wartość niż współczesny lot samolotem. Nie tylko pozwalał przygotować się na zejście na ląd, poprzez wysłuchiwanie wszelakich nieprawdopodobnych historii o Ameryce, ale także powodował, że w momencie, gdy pierwsza osoba dostrzegła Statuę Wolności, wybuchła euforia tysiące razy silniejsza niż radość odczuwana przy lądowaniu na lotnisku JFC. Również powrót frachtowcem czy statkiem pasażerskim, był czasem pozwalającym na utwalenie wszelkich wspomnień zebranych za wielką kałużą, na wielokrotne opowiedzenie innym pasażerom swoich przygód w coraz to bardziej wyszukanej formie, na wysłuchanie już przerobionych lub wymyślonych przez innych pasażerów kłamstw o „Hameryce”, które można było także pożyczyć, by opowiadać po powrocie do domu jak swoje własne. Pod tym względem lot samolotem dewaluuje nie tylko wartość niezwykłej wyprawy za ocean, ale także, a może przede wszystkim, nie pozwala utwalić i obrobić swoich wspomnień. Podczas kilkugodzinnego lotu pasażerowie zajmujący sąsiednie fotele albo śpią, albo tępo wpatrują się w ekran telewizora, zamontowanego na oparciu przed nimi i oglądają jakiś horror lub film akcji, zacierający ostrość i wyrazistość przeżytych chwil przywożonych w walizkach, do których nie można było zabrać pięknego kamienia z Wielkiego Kanionu, aby nie przekroczyć dopuszczalnej wagi. I tak oto, po kilku godzinach lotu trwającego krócej niż powrót ze wsi od babci z wakacji, zmęczeni, niewyspani i rozbici z powodu przesunięcia czasu, wpadamy w kierał codziennych obowiązków i na pytanie „Jak tam jest?” nie jesteśmy w stanie powiedzieć nic sensownego. Więcej przywoziliśmy atrakcji od babci ze wsi, a na dodatek ser i kiełbasę, którą władze celne odbierają na lotnisku, zastaniając się przepisami głupszymi nawet od urzędników je wymyślających, co jest nieprawdopodobne, ale

prawdziwe.

Wiem, że bardziej przynudzam, niż skupiam się na tłumaczeniu pamiętnika, ale nie mogę się powstrzymać, ponieważ poetycki opis początku rejsu powrotnego, frachtowcem z Meksyku do Amsterdamu, wprost powalił mnie na kolana, bo ja nie przeżyłam nic takiego, wracając z Meksyku samolotem.

Druga część rejsu nie jest już tak różowa, bo trafiają na pierwszy jesienny sztorm, który wstrząsa statkiem bez litości, jak barman shakerem. Początek wydaje się nawet lekko komiczny, gdy przechylający się pokład zabiera spod nosa talerz z makaronem. Po chwili go zwracając, ale już bez pasty pozostawionej na spodniach innego pasażera. Jednakże w miarę rozwijania się burzy statek zaczyna drżeć i skrzypieć, by przejść w końcu w przeraźliwy jęk rozdieranego żelastwa. Po minach marynarzy można poznać, że sytuacja wcale nie jest wesota. Staje się jasne, że statek zdany jest na siebie i jeśli dojdzie do jakiejś awarii, to znikąd nie nadejdzie ratunek, aż do czasu zakończenia się huraganu. Żaden sygnał SOS nie przywoła pomocy, niezależnie od tego, jak będzie głośny, wszystko zagłuszy huk wichury. Atmosfera na frachtowcu z godziny na godzinę staje się grobowa, a raczej tragiczna, bo szczury lądowe, nieprzyzwyczajone do takiego bujania, dopadła choroba morska. Jako pierwsza padła Feba, którą bez przerwy opiekował się Nikos i mimo braku ręki był w stanie nie tylko chodzić prosto, ale także pomagać innym. Najdłużej trzymała się Zoe, która starała się sprzątać rzygowiny chłopaków, ale drugiego dnia okazało się to zbyt dużym wyzwaniem i poddała się. Padła na prycze i leżała z zamkniętymi oczami, żując imbir, który, jako jedyny środek na naupatię, rozdawał lekarz okrętowy. Trzecia noc zostanie na zawsze zapamiętana przez wszystkich obecnych na okręcie. Kapitan nie ukrywał przed Nikosem, że sytuacja jest bardzo zła i nie może zagwarantować, że spotkają się rano na pokładzie, a nie na dnie oceanu. Wyjaśnił też, że żadne szalupy ratunkowe nie zadziałają, jeśli fale odwrócą okręt do góry dnem, a jeśli nie odwrócą, to lepiej nie opuszczać pokładu. Jako najrozsądniejsze w zaistniałej

sytuacji zaproponował, aby całą rodziną spędzili noc w jednej kajucie, przytulając się do siebie, a czas skracając wspólną modlitwą lub śpiewaniem pieśni religijnych. Tak się też stało. W połowie nocy było dla całej szóstki jasne, że jeśli dotrwią do rana, to będą tę dobę wspominać jako cud. Wielokrotnie wydawało się, że to właśnie ta chwila i właśnie ta fala wywróci statek, że tym razem to jest już koniec, jednakże frachtowiec zachowywał się jak wańka-wstańka i jęcząc przeraźliwie z wysiłku, wracał do pionu. Huragan nie słabł. W powietrzu kajuty zawisł smród strachu, wydzielanego przez chłopców, po wielu godzinach napięcia i choroby morskiej. W końcu Jorgos nie wytrzymał.

— Ja nie chcę umierać — rozryczał się na całego i padł na kolana, twarzą do pryczy. — Boże błagam, uratuj mnie, ja chcę żyć!

Dimitris i Kiprios ukłękneli obok niego i we trójkę, jęcząc, odmawiali na głos Pater Noster. Nikos patrzył na nich z ogromnym zaciekawieniem, jednocześnie jedną dłoń trzymając się pryczy, aby nie spaść. Gdy zaczęli po raz trzeci tę samą modlitwę, przerwał im z obawy, że nie dość, że mdli, to zrobiło się nudno.

— Dlaczego modlicie się do tej ściany, a nie do tej drugiej naprzeciwko?
— spytał tak naturalnie, że zdębieli.

— A do której mamy się modlić?

— Nie wiem. To wy padliście na kolana, a nie ja, a więc was pytam, bo ciekawość mnie dręczy — zainteresował się Nikos.

— Bo tak mi się wydawało, że Bóg jest z tej strony... — Kiprios odparł tak głupio, że aż śmiesznie.

— Zapewne także wydawało ci się, że Bóg lubi, jak Go błagasz? Skąd wiesz, że Bóg się ulituje nad tobą, gdy zaskomlesz o litość?

— Bo Bóg jest dobry... — spróbował Dimitris.

— A ja słyszałem, że Bóg jest sprawiedliwy. W Biblii jest napisane, że Bóg cię stworzył na obraz i podobieństwo swoje.

— Podobno tak jest... — przyznał Jorgos.

– No to może Bóg odczuwa wielką radochę, gdy ty jęczysz, może tak wielką, jaką ty odczuwałeś, mordując psa, który skomlał. Czy go puścisz wolno? Czy może maltretowałeś dalej, gdy wył? Przecież ty byłeś dla tego psa tak wielki jak Bóg. Czuję się jak Bóg. A więc może zachowywałeś się też jak Bóg? To po co teraz skomlesz?

– Bo się boję... – wyznał Jorgos.

– A ten pies się nie bał, gdy go mordowałeś? – spytał Nikos tonem wymagającym odpowiedzi.

– Bał się...

– Czy to, że skomlał, pomogło temu psu przeżyć??

– Nie... – przyznał Jorgos.

– No to przestań teraz udawać strasznie wierzącego, bo nim nie jesteś. I nigdy nie byłeś! Chyba, że chcesz rozśmieszyć Boga.

– A ty się nie boisz, że się utopimy? – spytał Kiprios.

– Nie...

– Czemu? – zainteresował się Dimitris. – Tak bardzo wierzysz, że przeżyjemy?

– Nie... – Nikos wyznał swoją tajemnicę. – Rozmawiałem z kapitanem i wiem, że mamy jedynie niewielką szansę na dośięgnięcie do Europy.

Chcesz znać morał tej historii ?